

# odgłosy



Nr 5 (367)  
 6. II. 1966 r.  
 10 stron  
 Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

KONRAD FREJDLICh

## TUNEL

Tamtędy jeżdżą teraz pociągi pod górami wożąc turystów z całej Europy, może więc za sprawą „Orbisu” przemierzyłeś ten szlak i masz zachowane w pamięci piękno okolicznego krajobrazu. Wapniowy grzbiet Karawanki we wschodnich Alpach, miejscowość Loibl-Pass albo Ljubel na granicy jugosłowiańsko-austriackiej. Nie byłem tam nigdy. Ci, co zbudowali tam tunel w twardej skale, nie jeździli do Loibl-Pass od czasu, gdy zrzucili pasiaki. A jednak pamiętają dobrze tę okolicę i tę śmierć, która im była przeznaczona, śmierć wcale nie piękniejszą przez to, że przychodziła na nich w strojnym krajobrazie. Śmierć głodowa, albo ropiejąca, albo pod razami. I Czech, Franciszek Januch, lekarz rewiru szpitalnego, któremu się czasem udało zagłodzonych wyprowadzać ze śmierci.

Czy teraz, po latach dokładnie 21, ten obraz akurat mają przed oczami, siebie pomarszczonych, skóra i kości, „muzulmanów”? Nie wiem. Ich pamięć zachowała obrazy jeszcze okrutniejsze. Mówią z namysłem jakby z obawy, aby nie poruszyć w sobie wspomnień najbardziej bolesnych. Bo to jest pierwsze spotkanie po latach ludzi związanych przez śmierć, a rozproszonych przez życie. W lokalu ZBoWiDu przy Piotrkowskiej mrużą oczy w hallu przyzwyczajając je do półmroku i zaraz poszukują nimi kolegów z partyzanckiego oddziału im. „Starego” (pseudonim Marceliego Nowotki). A potem uściski, pocałunki siarczyste z dubeltówką, coś nawet jakby lzy.

Te pocałunki reporter otrzymał na kredyt. To zobowiązuje. Zwłaszcza gdy się jest młodszym nie tylko o kilkanaście lat, ale przede wszystkim o śmierć, która do ludzi w moim wieku nie miała bezpośredniego dostępu. I gdy się jeździ po Europie z „Orbisem”, a nie bydlęcym wagonem po śmierć w roboczym kommando.

Aresztowani wiosną roku 1943 nie sądzili, że czeka ich podróż na południe Europy, przez miejscowości, które znali tylko z atlasu, albo ze słyszenia. Byli członkami GL i łódzkiej organizacji peerowskiej, a z takimi zazwyczaj załatwiano się od razu. Toteż Mauthausen,



Dalszy ciąg na str. 3

BOGDA MADEJ

## UWAGA dziecko!

nego Grzegorza Saborskiego napadł zniemacka pijany mężczyzna. Tępy narzędnikiem zadał on chłopcu w głowę kilka ciosów, doprowadzając go do utraty przytomności. Chłopiec w stanie bardzo ciężkim został przewieziony do szpitala. Pijak-sadysta zbiegł. Energiczne dochodzenie pozwoliło jednak na ustalenie sprawy bestialskiego pobicia. Jest nim znajomy matki chłopca Janusz Bartzak, który w dalszym ciągu się ukrywa. Milicja jest już na jego tropie. Jak nas poinformował lekarz kliniki chirurgicznej chłopiec doznał wgniecenia czaszki i licznych urazów głowy, wymagających natychmiastowej operacji. Zabieg przeprowadzono jeszcze wieczorem. Stan chłopca jest ciężki.

do policzka. Myślałam, że nie żyje.

Mały Grzesiek: — Ten pan nazywa się Bartzak. Często przechodził do nas... We wtorek wrócił do domu od babci, gdy nagle zobaczyłem Bartzaka. Chciał ode mnie 10 złotych. Nie dałem mu, to wciągnął mnie na pusty plac i zaczął bić. Gryzł w głowę i dusił. Od Bartzaka pachniało denaturatem. Potem już nie pamiętam.

Matka: — Nie chciałam Bartzaka wpuszczać do mieszkania; bo awanturował się i bił mnie. Groził, że mnie kiedyś zabije, a sam się potem powiesił. Jesienią 1964 r. rzucił się na mnie z nożem, był wtedy pijany. Potem parę razy dusił mnie...

Z tych kilku oderwanych zdań zaczęły się wylaniać sylwetki głównych bohaterów...

ską. Odpowiada. — Teraz trudno ją zastać! Ona tu nie śpi. A pani to właściwie po co? — wzrok jej jest nieufny i podejrzliwy.

Jakiś mężczyzna niósł węgiel — okazało się, że jest społecznym opiekunem.

— Pani w sprawie Saborskiej? — Zaraz sprowadzę przewodniczącego Komitetu Blokowego.

Nareszcie milczenie zostało przerwane. Domowy opiekun społeczny budził zaufanie. Rozwiązały się języki. A potem przyszła Saborska. — W kościele była? Teraz to lata — komentowano. Mówił dużo; Saborska, sąsiedzi, opiekun społeczny i przewodniczący Komitetu Blokowego. Relacje się mieszały, padały twarde, oskarżające słowa...

Sąsiadka: — U Saborskiej zawsze było wesoło. Jeszcze zanim przychodził Bartzak, byli inni. Ciągłe wódka, ciągłe hałas, a chłopak latał późnym wieczorem po korytarzu, albo przychodził do sąsiada na telewizję. Czasem jak jadłam obiad to

oczy latały mu za łyżką, nie można było nie dać. On tu już nie może wrócić.

Sąsiad: — Wcale teraz tu nie siedzi. Boj się. A może ona go tam trzyma? Ciągłe zamknięte, nikogo nie wpuszcza. Pewnie jak by mogła, to by go pod pierzynę schowała. Podobno nosił perukę...

Saborska: — Zebym ja go dostała teraz w swoje ręce to bym go zabiła. Zabiłabym... Przychodził do mnie, bę dzie już ze 3 lata. Wiedziałam, że ma żonę i dzieci. Już jak się ze mną znał urodziło się piąte. Jego żona? Pracuje. A skąd by miała brać na dzieci pieniądze? Ja dostaje po mężu rentę. 6 lat temu zginął przy pracy, pracował przy zakładaniu elektryczności. Niedużo tej renty — 800 zł. Właściwie to są pieniądze Grześka. Moja część to marne grosze...

Sąsiadka: — Czy to z 800 zł można żyć? Taka młoda, będzie miała ja-

Dalszy ciąg na str. 5

NOTATKA Z PRASY CODZIENNEJ:

„Wstrząsająca scena rozegrała się wieczorem. Około godziny 20 na powracającego do domu 9-let-

Wyciąg z protokołu przesłuchań:

Świadek: — Chłopiec był cały zalany krwią, nieprzytomny. Twarz rozbita, pasmo włosów przyklepione

Dom stary i mroczny. Drewniane, powykrywane schody wiodące na piętro, skrzypiały przy każdym kroku.

Napotkana kobietę pytam o Sabor-



# TUNEL

## Dalszy ciąg ze str. 1

słowo mrozące dziś krew w żyłach, oznaczało dla nich wtedy niejaką nadzieję. Geografia okrutna: Mauthausen (Austria) i Loibl-Pass (Jugosławia).

Grupa łódzka znalazła się w obozie śmierci 27 sierpnia. Nazwiska niektórych rymowały się: Kawa, Sawa, Zielonka, Czerwonka, ale jeszcze bardziej rymowały się, jeśli tak można powiedzieć, poglądy wszystkich na sprawy życia i sprawy śmierci. Nie w znaczeniu metafizycznym, tylko praktycznym, doraźnym. Śmierć, to był faszyzm, życie — antyfaszyzm. Było poza tym codzienne życie obozowe.

Zaczęli się obserwować wzajemnie, egzaminować z ludzkich reakcji, sprawdzać. Nawiazywali kontakty z innymi więźniami, ostrożnie, z rozważaniem. Byli już grupą, ale nie byli jeszcze organizacją i nie przypuszczali, że w lagrze mogą istnieć organizacje. Ale błogosławieństwo MoKRO odczuli, kiedy ich całą grupę przesłano z Mauthausen do Loibl-Pass, członkowie Ruchu Oporu opanowali już w tym czasie Schreibstuby. W Alpach znaleźli się w listopadzie 1943 r.

Daty wżarły się w ich pamięć, jak obozowe numery w ich skórze. To było późna jesień i chłód wysokogórski. Wiedzieli, że mają przebić tunel dla potrzeb hitlerowskiej armii i byli bezbronni w obliczu obozowej machiny. Podzielono ich na dwa kommando, północne i południowe, odległe o ten tunel, zaprojektowany przez austriacką firmę budowlaną, która sprawowała nadzór fachowy nad prowadzonymi robotami. W ekipie technicznej znalazła się też grupa jugosłowiańskich geologów.

Każdego dnia na 11 godzin wychodzili do pracy w wilgoć, ciemność i pył łupanych skał. Przez góry nieśli 12-litrowe bańki z jedzeniem eskortowani przez psy i esesmanów. Wyglodzeni, stali się pod tym ciężarem, kiedy przypadła ich kolej na transport żywności z macierzystego kommando.

— Wielka szarpał pies — wtrąca teraz któryś.

— A pamiętacie jak nas wysyłano na odrzucanie lawin z szos? — dodaje Jaworski.

Zimą odczuwali swoją katującą podwójnie. Podkładali więc papier od cementu na plecy pod pasy, żeby się trochę ogrzać. W czasie rewizji bito ich za to i dodatkowo głodzono. Ale kary groziły za wszystko, za sabotaż, za narzędzia porożbijane o skały, za rozbijanie betoniarki.

Panowała między nimi solidarność, na razie w grupach narodowych. Polacy trzymali z Polakami, Francuzi z Francuzami, Rosjanie też między swoimi. Ale wszyscy byli antyfaszystami i to przelało barierę trudności językowych, postanowili się zorganizować. Tak na terenie Loibl-Pass powstał Międzynarodowy Komitet Ruchu Oporu, do którego weszli Polak Józef Rzetelski, Francuz Luis Garnier, Jugosłowianin Michał Mirkowicz i Rosjanin Miszel, którego pamiętają tylko z imienia. Za pośrednictwem zatrudnionego w ekipie geologów Jana Kotyżlera nawiązali kontakt z jugosłowiańską partyzantką komunistyczną.

— Jan Kotyżler, to ten, co tak utykał? — Przywołuje sobie w pamięci obraz tamtego Blaszczyk.

4. XII. 1944 r. nastąpił Durchschlag, przebiecie tunelu. Małeńkie okienko w skale, przez które można sobie było podać bańkę z żywnością. Niemcy urządzili uroczystość, dali więźniom po butelce piwa i po misce końskiego gulaszu, zachęcali ich do pracy. Więźniowie odpowiedzieli na te „zalecki” tłuczeniem świrdrów, wózków, kompresorów, awariami w sieci elektrycznej.

Kiedy zaczęły się roboty przy betonowaniu tunelu więźniowie, na sposób jugosłowiański, zorganizowani byli już w plutony i przygotowani do ucieczki. Z organizacji politycznej przekształcili się w organizację bojową, chociaż jedynie ich uzbrojenie stanowił gwizdek i sztandar uszyty przez Jagielskiego i Znojka. Trzon grupy polskiej stanowili geolodzy łódzcy w liczbie około 50 ludzi, dobrali do siebie starannie innych, których poz-

nał dopiero w Mauthausen i Loibl-Pass. — W ewidencji mieliśmy dużo więcej ludzi gotowych do działania — przypomniał sobie Jaworski — ale na wszelki wypadek i wśród swoich robiliśmy selekcję.

Któregoś dnia zniknął geolog Jan Kotyżler. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, kim jest naprawdę ten technik utykający na nogę. Niemcy wszczęli poszukiwania, ale zbiega nie było, gdzie się rozplynął. Coraz częściej rozlegały się w okolicy strzały partyzantów.

Polski komitet MoKRO, do którego weszli Rzetelski, Blaszczyk, Jagielski, Znojek i Kłosiński przyjął zasadę: uciekamy tylko zbiorowo, indywidualnie tylko wtedy, gdy komuś z grupy ostatecznie zagraża niebezpieczeństwo. Nikt się z tego zobowiązania nie wylał i cała organizacja bojowa została wiosną 1945 r. wyprowadzona z Loibl-Pass do Tirzic, do kopania zapór czołgowych na ulicach miasta. Miała to być ich ostatnia praca na użytek III Rzeszy, esesmani z eskorty czekali jednak na wyraźny rozkaz Berlina.

Więźniowie zdawali sobie sprawę, że

nał komendanta Józefa Rzetelskiego. Na gale usłyszeli gwizdek.

Wszystko odbyło się tak szybko, że dziś nawet nie wiedzą dobrze jak to się stało. Runęli jednocześnie na esesmanów, po trzech, pięciu spychając ich na sam skraj przepaści. Po chwili rolę zamieniły się: esesmani stali się więźniami. Wtedy zobaczyli tych, co dali sygnał ze skały: partyzantów. Rozebranych do pasa, opalonych, z niedbale przewieszoną bronią. Niewielki patrol schodził do nich z gór, a kiedy się zbliżył wszyscy padli sobie w objęcia. Tylko ci, co cudem uniknęli śmierci, ci wiedzą jak wygląda spontaniczny wybuch radości w takiej chwili.

Potem wolni i uzbrojeni nawiązali kontakt z Jugosłowiańską Narodową Armią Wyzwoleńczą. Jugosłowianie zgodzili się na uformowanie francusko-polskiej brygady „Liberte”, której zadania zlecać miała IV Armia Dalmatyńska. Polacy stanowili w tej brygadzie tylko jedną kompanię, partyzancką im. „Starego”. Łódzian było w niej 35, na ogólną liczbę 93 Polaków. Prócz Polaków do kompanii weszło 7 Czechów i 24 Rosjan.

Sztab stanowili przeważnie łódzianie.

W trzy tygodnie po oficjalnym zakończeniu wojny kompania im. „Starego” dostała pozwolenie wymarszu do Polski. W pełnym rynsztunku bojowym, ze sztandarem ruszyli w kierunku Wiednia, czasem tylko podwożeni przez przypadkowe auta wojskowe. Ze stolicy Austrii skierowali się na Bratysławę, gdzie radziecki komendant polecił im złożyć broń.

— Wojna skończona, towarzysze.

Oddali broń bez oporu, ale z niejakim ociąganiem. Na granicy czesko-polskiej zaczęli ich funkcjonariusze Londyńskiej Delegatury. Proponowali marsz na zachód.

— Co to, to nie, panowie — powiedział im wtedy Blaszczyk. — Nasze miejsce jest w kraju, wasze, gdzie wam się żywnie podoba, choćby w Japonii.

W Cieszynie powracając kompanię powitał starosta i sekretarz powiatowego komitetu PPR. Ojczyzna powitała ich dostojnie i serdecznie.

Do Łodzi przyjechali grupą, ponad trzydzieści osób i zgłosili się do wojewódzkiego komitetu PPR.

— Jesteście towarzysze potrzebni. Czy



tutaj ma być ich koniec. O wszystkich poczynaniach eskorty informowali ich dwaj esesmani Chorwaci, którzy teraz, w obliczu klęski, zdradzali swych morderców. Z bliskości tej klęski zdawali sobie sprawę wszyscy: i eskorta, i więźniowie, i okoliczna ludność, która już teraz jawnie okazywała swoją sympatię szkieletom w pasiakach. Ktoś z miejscowych podarował nawet więźniom konia, ale najlepsze kaski mięsa zjedli Niemcy, teraz już koniną nie gardzili.

Wtedy nadszedł rozkaz Himmlera o likwidacji obozu. Więźniowie mieli umrzeć o kilka dni wcześniej niż Rzesza. 2. V. 1945 r., a więc w dniu kapitulacji Berlina, odbyło się posiedzenie MoKRO. Postanowiono odebrać Niemcom broń wykorzystując moment zaskoczenia. Więźniów było w sumie około 600, a esesmanów z obstawy 72, ale Niemcy byli uzbrojeni w erkaemy i MP-41. Tej broni mogli więźniowie przeciwstawić tylko pięści i wolę życia.

3. V. 1945 rozpoczął się marsz na Zagładę. Następnego dnia usłyszano trzy salwy karabinowe z wysokiej skały. Tagi sygnał mieli dać partyzanci jugosłowiańscy na znak, że czas działać. Miejsce było do zaskoczenia stosowne. Kolumna więźniów szła tuż nad urwiskiem, z którego należało zepchnąć esesmanów w przepaść. Każdy w kolumnie miał powierzone sobie zadanie i czekał na syg-

Dowodcą został Rzetelski, „Łódzian”, jak to się powiada, z krwi i kości. Plutonami dowodzili Kłosiński, Znojek i Chybiński. W pierwszym tygodniu maja 1945 r. kompania wyruszyła w góry na bój.

To już były ostatnie konwulsje nieśmiertelnej III Rzeszy. Front rozsywał się, ale często duże jeszcze oddziały Niemców przedzierały się przez Alpy śpiesząc do Heimatu. Byli wśród nich i zdecydowani na wszystko esesmani. Z tych zdecydowanych oddziałów mieli teraz partyzanci czyścić góry.

Chrzest bojowy partyzanci kompanii im. „Starego” przeszli w trwającym trzy dni i trzy noce boju z trzynastotysięczną armią niemiecką. Dwa polskie plutony przegrodziły jej drogę odwrotu i zmusiły do rozsypania się po górach. Potem zaczęli się pościg za frycami, brano ich setkami do niewoli. Wyłowiono przeszło 600 esesmanów, nie licząc żołnierzy Wehrmachtu, którzy chętnie rzucali broń nie chcąc ginąć w przededniu bezwarunkowej kapitulacji. W walce z esesmanami jeden z polskich plutonów dostał się w okrażeńie. Rzetelski przypomina tamten moment z żołnierskim humorem:

— Może pan napisać, że komendant miał pełne portki. Tak jest. Ale nie ze strachu. Najadłem się jakiejś zielonizny, surowej. Potem bolał mnie brzuch i na nic nie było czasu, bo esesmani bronili się zaciekłe. Potem rozbrojonych zaprowadziliśmy pod eskortą do lagru.

zgadzacie się podjąć wszelkie ryzyko?

Tak, czasy nie były bezpieczne. Do komunistów strzelano, zaa węgla, podstępnie. Ludzie z kompanii im. „Starego” poszli do pracy w aparacie partyjnym i w milicji, tam gdzie było najgoręcej. Niejeden oddał życie w walce.

Potem nastąpił ten wstrząs: Interdykt Stalina rzucony na Jugosławię. Jakikolwiek związek z Jugosławią rzucał na ludzi cień, odbierał im chleb, pozbawiał zaufania. Przed partyzantami z kompanii im. „Starego” wyrosła nagle twarda skala, przez którą musieli się przetrząbywać zygzakami.

— Byliście w partyzancie tutowskiej czy królewskiej? — pytało Blaszczyka.

— Jestem z KPP — powiedział.

Przejęcie przez tę skalę otworzył dopiero październik. Mogli odsukać kolegi, którzy nie dawali o sobie znaku życia, aby nie narazić przyjaciół na szkany. Zaczęła się wymiana listów, wreszcie zaproponowano ten zjazd.

Siedzą przede mną: Architekt, Kukula, Blaszczyk, Kawa i Jaworski. Rzetelski „doskakuje”, jest zajęty. Prawda, jest także i Mróz, który mnie wycalował serdecznie widząc w tej kompanii. I jest przywrócona po latach sprawiedliwość i cześć. Któryś mówi: — Październik!

KONRAD FREJDLICH

## O społecznikach z Warty, o panu Reymontcie i o pewnym nie spłaconym długu łódzian

Felieton zwyciężył. Temat pierwszy podejmowałem już kiedyś na tych łamach, dziś zwracam jedynie po to, aby opi-

nać w skrócie konkretną inicjatywę, powstałą i z energią prowadzoną w tym miasteczku. Wiąże się ona z dalszymi kwestiami wymienionymi w tytule, ale po kolei. Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło, dość, że szlachetny poczet tamtejszych społeczników (dr E. Kaleniewicz, dyr. C. Tracowski, przewodniczący PRN W. Tyliński, mgr Orchowicz, S. Wielgusiak i in.) zamyślił o budowę wielkodusznego pomnika W. S. Reymonta. Dwa kilometry od Warty, we wsi Małków, w starym, przepięknym parku, niedawno jego właściciele uczlili częste wizyty pisarza w tym zakątku wzniesieniem gipsowego popiersia, ulokowanego na murawie, gdzie Reymont lubił przesia-

dywać, pisać i słuchać pieśni słowiczych (ponoć tam najczęściej dzwoniły). Bodaż miejscowi wandalci — wszędzie grasują — zniszczyli ten znak czci, pozostawiając kamienny cokół. I otóż gdyby nie wrażliwość owej gromadki miłośników przeszłości, odgrzebywaczy pamiętek rodzinnej ziemi i ich pielęgniarzy, kto wie, czy kamienne resztki miałyby na tyle dośrogi głos, by ktoś obcy się nad nimi użalił. Zresztą nieważne są tropy, po jakich przebiegała ta inicjatywa. Dziś, to znaczy zaledwie po kilka miesięcy, projekt odbudowy przyobiekł się już w realne kształty: działka Społeczny Komitet Odbudowy (przy PTT-K), wpłynęły pierwsze złotówki, a godzi się powie-

dzieć, że i łódzcy literaci odpowiedzieli na apel, oddając swe honoraria za wspólny wieczór autorski na ten cel. Otóż kiedy byliśmy w Warcie (M. Piechal, J. Koprowski, T. Papier i in. podpisani), serdecznie i gościnnie przyjmowaliśmy, porwani rozlicznymi dowodami zainteresowania, doznaliśmy w trakcie rozmowy o Reymontcie zażenowania. Jakże to: takie miasteczko składa wiele widomych pisarzy, który tylko w przelocie, trybem wizytowym, bywał w tej okolicy, nie poświęcając jej nawet ni jednej strony, a metropolia włókniarzy, obdarowana tak rozrzućnie, nie zdobyła się dołąć na podobny choćby akcent pamięci. I smętna refleksja: nawet wielki pi-

sarz nie może liczyć u potomnych na gest wdzięczności. I rozważając ów rzadki przypadek zobojętnienia czy nieudolności, nikt z nas nie próbował go usprawiedliwić. Gdyż tłumaczyć ten fakt śmiercią teź twórczości, zapomnianym losem jego ksiązek, wręcz nie można, jako że są ciągle czytane i raz po raz wydawane. Za mało mamy równie znakomitych dzieł — dokumentów społeczno-histerycznych, jak „Ziemia obiecana”, by lekceważyć ten zamasyty, ekspresywny zapis powstawania miasta.

Nie bijmy się w piersi (za późno), nie rozdierajmy szat, tylko co rychlej za fundujemy łódzko-społeczny sumptem (stać nas, proszę państwa!) jakiś okazały wyraz naszego szacunku i pamięci, my, wnukowie bohaterów „Ziemi obiecanej”. Bo mogą nam jeszcze kiedyś wspomnieć te ojeszczość.

S. K.

STANISŁAW KASZYŃSKI

## Z WIENIEŃSKIEGO NOTATNIKA

### PIĄTEK

Jest jeszcze ciemno i dżdżysto, gdy mijamy granicę czechosłowacko-austriacką, teraz stacja Hohenau, do przedziału wchodzi z uprzejmym „Gut Morgen” pan w cywilu z pokazną okrągłą blaszką „Kriminal-polizei”, niezwykle przystojny, no Gary Cooper, pokazywanie dokumentów, wizyta celnika, poznaję z intonacji wiedeński dialekt, można wyjść na korytarz, przez zamkniętą szybę litery reklam, przy tym odczytywaniu uśmiezek w stronę... żołądka — „Schwechater Bier”, skojarzenia zwykle, gastronomiczne, za godzinę Wiedeń.

Pociąg sunie nieco ospale, oddaje mi odrobinę zmęczenia, po drogach przetaczają się ciężarówkami, śpią już na całego, gdy wchodzimy w Südbahnhof. Jak to przyjemnie powracać do obcyca, ale jakoś skomsumowanych miast, z pierwszym krokiem odczuwam fizycznie spokojną, wyważoną pięknosc miasta. Pamiętam numer tramwaju, którym pojadę, już z odciecia, ciągle zadeszczonych przyjmuję znajome ulice, domy. Co za ruch! Inny, bardziej nerwowy niż przed dwoma laty, nie widzę wolnych miejsc do parkowania. Tak by się chciało, by ten wskaźnik warczącej cywilizacji przynajmniej tutaj nie wielokrotności. Jak stwierdzam później, nie narusza to równowagi, nie oddala minionej czasu, który wkorzenił się głęboko: stoi równie wytrwale gmach Opery, za nią prosperuje nadal Hotel Sacher, pod którym na brązowo wystrojonej portierzy oczekują goście (oczywiście, nie mnie!), pod murami katedry św. Stefana drzemią zaczarowane drożki, na Grabenie wykintny spokój wytwornych wystaw. Zniechęty idę na mokrą, atmosferą jakaś swojska, nierzeczywista, skądś ją znam, ach, z felietonów Piotra Altenberga. Więc nie się nie zmieniło i nie nie podlega nadkruszeniu, mimo szaleństwa globu i kosmosu, pomimo coraz zawziętszej licytacji obu partii austriackich, przekrzykujących się we wzajemnych donosach.

### SOBOTA

Co by warto zobaczyć w teatrze? Mam swoich ulubieńców, przede wszystkim im poświęcę kilka wieczorów. Co grają? Wiedeń jest konserwatywny, nie szuka nowości, kryją się po piwnicach, najambitniejsze są malenkie, do 49 krzesel, ponad tę granicę płaci się podatek rozrywkowy. Ceni się klasyków, i to w Burgu, gdzie w czasie przerwy można spacerować wzdłuż okrążającego korytarza, obłożonego na ścianach portretami mistrzów-aktorów tego domu. Zostawiam Burg, grają teraz m. in. schillerowską „Intrygę i miłość”, raz na dziesięć dni powtarzają „Dzień gniewu” R. Brandstaettera: nie jestem aż takim patriotą, żeby odczuwać w sobie imperatyw podziwu dla rzeczowego dzieła. Nad Burg przedkładam dawną scenę Maxa Reinhardta, teatr w Josefstadt. Idzie „Ojciec” Strindberga. Nie widziałem go jeszcze na scenie, brylował u nas ongiś w roli Rotmistrza Adwent. Wybieram się w innym celu. By zobaczyć cudowną Susanne von Almassy. Nazwisko — arcywiedeńskie, to pół Węgierka, sądząc po „von” — z odziedziczonym herbem; niby nie wolno używać szlacheckich tytułów, jak się zdaje, nie bardzo przestrzega się tego zakazu, zwłaszcza w świecie artystycznym. Nie wiem, czy mieszanica krwi zawsze wyrzuca talenty, w tym wypadku: tak, Almassy, jedynie Almassy, jak mówią znawcy, zachowuje w oślepiającym blasku znakające z desek empyli damy salonowej w wielkim stylu. W tej roli (zony Rotmistrza) nie ma szans druzgotania widza całym swym kunsztem, lecz i tu z wystudzonych spojrzeń, z niespokojnego falowania ciała, z przetrzymywanych pauz, z pół okładek ręki opalizuje elegancją, kokieterią, zmysłowością, wirtuozerią techniki.

### WTOREK

Codziennie wizyty, rozmowy. Zachodzę i do Austriackiego Towarzystwa Literackiego, którym kieruje prężnie dr Wolfgang Kraus, wypróbowany przyjaciel polskiej literatury. Co trzeci dom w śródmieściu jest albo pałacem, albo jest tak zastużenie stary, iż starczy mu to za rekomendację. Towarzystwo mieści się w Pałacu Wilczka, to brzmi bardzo swojsko, nie będę wyjaśniać, kto zacytował. Gratuluję dr Krausowi świetnych spotkań w doborowym gronie zagranicznych, jakie zorganizował w ubiegłych miesiącach na temat współczesnego teatru i powieści. Brali w nich udział i nasi, największe wrażenia, jak mi opowiadano, zrobił na słuchaczach mistrz Sławomir Mrożek, goście cytowani i przywoływani na świadka, który nie dał się sprokoczyć i milczał niewzruszenie przez okulary. Mój gospodarz orientuje się poprawnie w naszych problemach literackich, młodo mi słuchać, z jaką sympatią rozprawa o Janie Koprowskim, wie doskonale, jakich z niego zagorzały miłośnik austriackiej kultury. Przygotowuje się do dyskusji z

przedstawicielami Pragi, która ma się odbyć w telewizji. Wiele sobie obiecuje po rozmowie z warszawskimi partnerami: to będzie drugi dialog między stolicami.

Kilka godzin później — wieczór autorstwa Zbigniewa Herberta. Urządzą PEN Club w siedzibie zagranicznych dziennikarzy, w klubie „Concordia”. Herbert przebywa w Wiedniu od swego wielkiego dnia październikowego, kiedy otrzymał najwyższą międzynarodową nagrodę austriacką im. poety Lenaua. To jest coś, na honor! Tak się złożyło, że poznałem autora „Studium przedmiotu” dopiero tutaj, muszę przyznać, że portret, który sobie uroliłem pokłócił się w zetknięciu z cielesną powtórką. Zamyśliłem go sobie jako zwiewno-helleńskiego Apolina, z alabastru, ze smukłości gotyckich, a stanąłem przed krzepkim, zwalistym, twardym facetem, z nasy Brychtów. Na wstępie Herbert odczytał coś w rodzaju manifestu, w którym afirmował poezję klasycznego rygoru i najzwyczajniejszych ludzkich wartości, potem nieco egzaltowana pani z Burgu odczytała z pachnącego notesiku (siedziałem w pierwszym rzędzie, a perfuma była doprawdy przednia), bardzo intymnie, kilka wierszy i najnowszy bodaj o ulatującym z portu donikad delfinie. Mimo prób rozentuzjamentowanej publiczności nie chciał czytać, tylko ten, o delfinie wiersz, podał po polsku. Uwielbia się tu poetów, szczególnie laureatów, to przecież o wiele więcej niż doktor, a ci zażywają ogromnej estymy. Herbert chodził przeto w glori, podziwiany, rozrywany, zapraszany, oklaskiwany; widziałem, więc opisuję.

### SOBOTA

Obiad z Milem Dorem w restauracji vis-a-vis Burgu, do której zachodził z pobliskiego Ministerstwa Oświaty pisarz-urzędnik, Tadeusz Rittner. Prawie nie poznaję



Dora! hołduje brodzie, przy jego ciemnych, żywych oczach troskliwie pielęgnowana broda dodaje mu jakiejś filiternej powagi. Trzeba go przedstawić. Świetny prozak średniej generacji, parał się i dramatem, pisze sztuki telewizyjne, słuchowiska, tłumaczy dużo z francuskiego i serbochorwackiego, wydaje antologię, ostentnie „Dowcipu politycznego”, gdzie jest rozdział z polskimi anegdotami. Nazwisko, zwłaszcza imię, podprowadzają pod Słowiańszczyznę. Wszystko się zgadza. W czasie wojny znalazł się w więzieniu wiedeńskim, na tyle — bagatel! — opanował język niemiecki, że przetrzył się całkowicie w tę domenę. Drukuje głównie i dużo w NRF, tam w większości udają się pisarze austriaccy ze swoimi utworami; bogate domy wydawnicze, łatwiej stamtąd wejść na rynek. Tutaj ograniczone możliwości — brak fonsy. W kilka dni później spotykam się z panią Lottą Ingrisch, która pracuje wyłącznie na zamówienie rozgłośni i telewizji zachodniowiedeńskich; zwierza mi się, co ciekawe, że najchętniej pisze w dialekcie wiedeńskim, który jest na równi

uprawniony z literackim językiem. Powieści zaś wydaje pani Ingrisch nad Dunajem. Mieszka w Wiedniu, bodaj czy opuścił by to miasto. I Ingrisch i Dor znają literaturę polską, na półkach widzę eseje Leszka Kołakowskiego, nowy tom opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza, prozę Brunona Schulza, oboje chcieliby bardzo odwiedzić Polskę.

### CZWARTEK

Wreszcie splacam zaciągnięte zobowiązanie: w sali uniwersyteckiej wygłaszam odczyt na temat polsko-austriackich stosunków teatralnych. Dalsze trzy kwadransy mówię o współczesnym teatrze polskim. Przedstawia mnie prof. H. Kindermann, kierownik Instytutu Wiedzy Teatralnej. Słuchacze głównie studenci. Są uprzejmi, wysłuchują do końca. Potem dyskusja. O co pytają? Nie pomyliłem się: przede wszystkim interesuje ich nasz studencki ruch teatralny, znają kilka teatrzyków z gościnnymi występami, był m. in. „Co To” z Gdańska. Jak repertuar, kto finansuje, jak przyjmuje przedstawienia polska publiczność, czy odważny politycznie? Pytania o tendencje artystyczne teatru zawodowego, o repertuar. Miłe zdziwienie, kiedy mówię, że Ionesco i Genet, i Beckett grywani są na prowincji, częściej — dopowiadam — niż w Wiedniu. Starym zwyczajem, dziedziczonym po bakałarach średniowiecznych, biją kciukami o pulpity ławek, po czym wstają. Uff, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

### NIEDZIELA

Coraz bliżej do świąt. Pierwszą wyczuwają ten termin kupcy, dając znak PT. Klientel! natarczywym, wyzywającym pod adresem oczu i kieszeni modelunkiem wystaw, okrąsa gałązek, jaskrawymi kolorami lamp i świec. W dzielnicach handlowych wła-

do spazmatyczno-refleksyjne sole i z tego dopiero wziął autor kilka taktów, które przydzielili kilku osobom. Pierwszy raz miałem okazję patrzeć na wybitnego aktora filmowego, występującego na deskach teatru. To mnie przede wszystkim interesowało — jak poczyna sobie na scenie as kamery. Najkrócej opowiedziawszy: wybornie, wzmiancie! Jeszcze ciekawiej, wydało mi się, jeszcze pełniej się uzewnętrznia, prawdopodobnie sprawia to bliższą bezpośredniość, obejmuje się i przyjmuje aktora w całej jego fizyczności, nie przeskądza żadną aparaturą, jak w filmie, której jakby nie dowierzamy, imputując jej fałszerstwa. Tu mamy najprostszą drogę od człowieka, spełniającego na naszych oczach akt ucieleśnienia człowieka. Tegóż dnia Jürgens ukończył 50 lat. Wygląda znacznie starszej, niż powiada metryka, skutek to pewnie i wyjątkowej pracy. Doprawdy, wywołuje podziw swą wszechstronnością i rozlicznymi zajęciami, talentami. W zeszłym roku grał po francusku główną rolę w sztuce „Le fil rouge”. 15 lutego br. odbędzie swój amerykański debiut w sztuce „The great indoors”. Jak wiadomo, językiem rodzimym jest niemiecki... A sprawność fizyczna? Prasa podaje, iż w tymże jubileuszowym tygodniu po przedstawieniu sztuki Osborne'a zasiadł za kierownicą i następnego dnia w południe osiągnął Lozannę, gdzie reżyduje. Dzień później miał rozmowę w Zurychu, dwa dni potem — w Nowym Jorku... Aktor filmowy i teatralny, właściciel wytwórni filmów i farmy róż w południowej Francji, przepisuje to mechanicznie z gazet, prosząc o wyrozumiałość.

### ŚRODA

Verbelen uwolniony! Nie chce się wprost wierzyć, że wiedeński sąd przysięgłych oczyścił z zarzutów oficera SS, skazanego zaocznie przez Belgów za zbrodnie wojenne na karę śmierci. Oburzenie, protesty, zdumienie. „Tylko bez drwin, tyle mnie już dziś ludzi znieważało” — miał powiedzieć jeden z kolegów przysięgłych. „Jestem skonsternowany, zaskoczyła mnie ta wiadomość... Chyba nie odważy się przekroczyć naszych granic, jeśli nie chce ryzykować życiem” — oświadczył belgijski minister sprawiedliwości, Zareagował i minister Spaak, nadeszła i odpowiednia nota rządu belgijskiego. „Kurier”, największa gazeta austriacka, zamieścił następujący komentarz: „Jeśli Państwo będą dzisiaj dokonywać w śródmieściu świątecznych zakupów i wstąpią na chwilę do kawiarni, może się zdarzyć, że otworzą się drzwi lokalu i ukaze się w nich b. oficer SS Robert Jan Verbelen już jako wolny i niewinny człowiek, i przysiądzie się do swych przyjaciół, by wychylić toast za austriackie sądownictwo... Austriacki obywatel Robert Jan Verbelen (otrzymał bowiem takie obywatelstwo — S.K.) uda się w początkach marca do urn wyborczych. Chociaż ma krew na rękach będzie współdecydował o składzie parlamentu, zamieszka również w mieszkaniu, zbudowanym ze środków gminy miejskiej Wiednia, a teoretycznie można z grubszą założyc — zasługi jego w tej dziedzinie są przecież niewątpliwie — iż jako nieskazitelny obywatel austriacki wstąpi ponownie do służby w naszej policji państwowej”.

Co by jeszcze dodać?!

### SOBOTA

O nich będziemy kiedyś mówić i pisać w Polsce. To ci startujący teraz reżyserzy i literaci, i krytycy, którzy poszukują pilnie i wystawiają polskich autorów, przekładają całe powieści i wiersze, cytują w swoich pracach nasze opinie, przenoszą na swoje łamy nasze dyskusje. Oto pan Heinz Lukas Kindermann, lat 25, syn wybitnego teatrologa, reżyser teatralny i operowy, plastyk i scenograf. Przygotował świetną inscenizację „Kartoteki” T. Różewicza, zdaniem krytyki, ciekawszą niż w berlińskim Schiller-Theater. Ma już propozycje, by powtórzyć ją w Polsce. Zrobił także „Męczeństwo Piotra Oheya” S. Mrożka w teatrze studenckim. Biedzi się teraz nad „Za bawą”, zanadto, zwierza mi się, polska. Pokazywał mi listy od Różewicza, pertraktuje w sprawie dalszych inscenizacji jego sztuk. Najpierw wystawi chyba „Pana Kleksa” J. Brzechwy. Wła pan, mam satysfakcję, zdobyłem 9 miejsce w konkursie zorganizowanym w Polsce na plakat. To wcale dobra lokata, jesteście na tym polu potęga.

A oto pan Herbert Kraus, młodzieńki, koło dwudziestki, syn wspomnianego wyżej dra Wolfganga K. Zajmuje się krytyką teatralną i publicystyką, pisze często, ze znanstwem przedmiotu, o polskim życiu teatralnym. Był już kilkakrotnie u nas, zawiadził o Łódź także. Uczy się polskiego, nie taka to łatwa sprawa, użala mi się, każdy początek trudny, odpowiadam, byle jednak zawsze „przodem do przodu i nawet tyłem do przodu”. Śmieję się, Mrożka znamy przecież doskonale — najlepsze to więzi, które umacniają się za pomocą cytatów z dobrych utworów.

### W NOCY Z...

Wracam na powrót na peron dworca południowego. Stąd odchodzą pociągi do Polski i na południe Europy. Jest święto, mimo późnej godziny spacerują po obszernym hallu grupki jugosłowiańskich robotników, których pełno teraz w Wiedniu. Przychodzą tu systematycznie w dni wolne od pracy, piją piwo, gwarzą, zwierają się z przeżyte na obcym bruku. Przyjechali na ten dworzec, stąd odjadą do swojej ojczyzny. Chyba też fakt ściera ich tutaj tłumnie, o kilka metrów są szynny, po których uwięzie ich pociąg, stąd najbliższe więdo do kraju. Wszędzie dobrze, najlepiej w domu. Z czułością myślę o nim i ja. Ale piwo jest prawdziwie wyborne, ale Wiedeń, ten, który zabieram z sobą, jest prawdziwie piękny.

Jean Shrimpton, najlepsza modelka świata opublikowała książkę pt. „Cała prawda o moim zawodzie”. W pracy tej udziela rad i ostróg kandydatkom na modelki. Oto w skrócie wstępny rozdział tej książki.

## DLACZEGO JESTEM NAJLEPSZĄ MODELKĄ?



Jean Shrimpton w 1961 r...

Tysiące dziewcząt marzy o tym, żeby stać się gwiazdami wśród modelek, ale gwiazd w tym zawodzie nie bywa więcej jak pięć do sześciu równocześnie. Zawód modelki przyciąga zarówno dziewczęta leniwe, jak i te, które mają zbyt mało powodzenia u mężczyzn. Mam dla tych dziewcząt wiele sympatii, ale obawiam się, że będę musiała je rozczarować.

Zawód modelki jest trudny i wymaga obowiązkowości, a konkurencja jest w nim duża. Podaję najważniejsze i niezbędne warunki dla dobrego spełnienia tego zawodu.

Czekają was dwa rodzaje pracy, które różnią się bardzo między sobą: 1) pozowanie do fotografii, 2) pokazy ubiorów.

W obu przypadkach niezbędnym warunkiem jest wzrost, bez obuwia 1,68 do 1,75. Bądźcie szczupłe. Suknie słynnych krawców wyglądają najbardziej elegancko na modelkach chudych jak tyczki do fasoli. Natchnieniem dla twórców mody są wyłącznie kobiety, o których powiedzieć można, że to tylko skóra i kości.

Wybór agencji, która zatrudnia modelki jest sprawą bardzo istotną. Nie słuchajcie w tym względzie ani swych matek, ani swych sympatii. Idźcie do agencji najlepszych. Bo takie zainteresowane są waszym powodzeniem. Są to instytucje poważne, gdzie co dzień zjawiają się setki kandydatek. Tam was nie nabiorą. Pamiętajcie, że jeśli w którejś agencji powiedzą wam, że wszystko jest jak najlepiej i niczego wam nie zarzucą — będzie to znak, że zapakujecie do niewłaściwych drzwi.

W tym zawodzie nie wymaga się od adeptek niezwyklej urody, ale przy pucołowatych policzkach mało jest szans, aby być fotogeniczną. Podobnie nie są pożądane np. duża szczeka lub spłaszczony nos. Natomiast musicie mieć duże, błyszczące oczy, bez sinych obwódok, oczy które nie maleją, gdy się śmiejecie. Wasze włosy muszą wytrzymać wszystkie próby, jakim codziennie będą poddawane.

Elegancka klientka czesze się dwa razy dziennie, w zaś dla niej będziecie musiały zmieniwać swoją fryzurę dwanaście razy w ciągu dnia. Będą przefarbowywać wam włosy, które po tych zabiegach muszą zachować swą gęstość i miękkość. Piękna cera to duży walor. Każdy pryszczyk jest klęską. Ponadto namawiam was jak najusilniej, abyście co tydzień chodzili do dentysty.

Musicie bardzo dbać o wasze ręce. Fotografowie traktują ręce jako jeden z naj-

musicie mieć dobre zdrowie, abyście mogły włożyć kostium kąpielowy w styczniu i chodzić w futrze na równiku.

Nie bądźcie złościami. Charakter też ma znaczenie. Musicie być staranne, punktualne i zawsze mieć przy sobie, w torebce, niezbędne kosmetyki, musicie zawsze być w pogotowiu dla pełnienia waszego zawodu, choć byście miały odwołać wasze prywatne rendez-vous.

Nie miejcie zaufania do szkół dla modelek. Przyjmują one uczennice, które

angażowania was do filmu. Swe marzenia zachowajcie dla najbliższych.

Pierwsze wasze zetknięcie z aparatem fotograficznym przekona was o tym, jak wyglądacie sztucznie i niezgrabnie, na sztywnych nogach i z rękoma zwisającymi jak wiązki bananów. Dopiero od tej chwili zaczniecie się uczyć swego zawodu.

Zawód modelki miewa, niestety, czasem złą sławę. Sprawa Christine Keeler bardzo się do tego przyczyniła. Powoływanie się na przebywanie z modelką może służyć za doskonałe alibi. Nigdy nie wiadomo, gdzie się modelka znajduje. Większość ludzi nie wie, gdzie ona jest naprawdę.

Na ogół sądzi się, że modelka to kobieta za bardzo umalowana, zbyt silnie uperfumowana, o dość względnych zasadach moralnych. I że rozpoczyna pracę o szóstej wieczorem.

Kiedy przeglądamy pisma poświęcone modzie, nie zdajemy sobie sprawy z tego, że byłe fotografia — to wynik intensywnej pracy, trwającej ponad cztery godziny. Ludzie sądzą, że takie fotografie powstają w taki sam sposób, jak zdjęcia robione podczas wakacji. Spaceruje się w ładnym ubiorze i pstryk, pstryk, jedno zdjęcie za drugim, gotowe.

Ludzie wyobrażają sobie, że wieczorem modelki ubrane we wspaniałe stroje, popijają szampana z bogaczami, a wstają do pracy następnego dnia w południe. W rzeczywistości modelka, która dużo pracuje ma bardzo ubogie życie osobiste.

Musi ona koniecznie spać co najmniej osiem godzin na dobę, jeśli nie chce mieć podkrążonych oczu. Musicie się zdobywać na rezygnowanie z rozrywki wieczorami, nawet wtedy, jeśli są specjalnie dla niej urządzone.

Aby żyć z uroku własnej osoby, modelka musi poważnie traktować swoją pracę. To okup, który się płaci społeczeństwu. Nie wyobrażajcie sobie, że wystarczy pozować z miłym uśmiechem i skakać na jednej nodze.

A sukcesy osiąga się długą i cierpliwą pracą.



...i w 1965 r.

bardziej wyrazistych elementów postaci. Nie ma mowy o porysowanych paznokciach lub popękkanym lakierze.

Niezwykle ważne są nogi. Najlepsze są długie nogi, możliwie najdłuższe, choć wasze stopy nie mogą być zbyt duże. Podobno wysuszyć ładną parę nóg, aby je można było potem fotografować w pieniączy się mydłem wannie, jest równie trudno jak znaleźć żyłą złota.

Oprócz tego wszystkiego,

najczęściej nigdy nie będą modelkami. Dużo jest ładnych dziewcząt, ale naprawdę fotogeniczne są rzadkością.

Należy dbać o swój wygląd i sprawdzać nieustannie czy jesteście dobrze uczesane, czy wasza sukienka dobrze leży, czy nie jesteście zbyt uszmiłkowane i czy nie przybrudziły się wasze pantofelki.

Bądźcie czyste i świeże. Unikajcie przechwałek i nie opowiadajcie wszystkim, że odrzuciliście propozycje za-

# UWAGA dziecko!

Dalszy ciąg ze str. 1

mu gorzej. Co tam? I tak dziecko zmarnowane. Przecież on teraz ogłuchł. A jak mózgu mu kawałek wyjęli, to przecież normalny nie będzie. Tylko czy wyżyje?

Saborska: — Byłam dzisiaj u Grzeska. Codziennie chodzę. Już mu lepiej.

Sasiadka: — Ja to tak sobie myślę, czy to nie było umówione. Ona musiała o tym wiedzieć. Z tego co gada to widać, że więcej się o chłopca martwi, żeby go nie złapali niż o dziecko. Teraz to go nie chciała wypuszczać bo oboje zapłacili w kolegium po 500 zł, za to, że przetrzymywała u siebie nie meldowanego.

Saborska: — Jak go teraz nie wpuszczają, to się odgrażał. Pilnował jak chłopak szedł do domu i wpychał się za nim. Wtedy, we wtorek tak samo było. Chciał, żeby Grzesiek zaprowadził go do nas. A jak chłopak nie chciał, to go pobili... Z początkiem myślałam, że się zmieni. Taka już jestem, że chciałabym pomóc każdemu człowiekowi. Myślałam, że wpłynę na niego. A co ja miałam zrobić, jak do swojej nie chciał iść? Wolał tu u mnie. Pewno, że pil denaturat. Mało to razy przyszedł schłany jak świnia? Kiedyś bit mnie tak, że aż wyrwał mi migdał. Teraz ta chrypa już do końca życia...

Sasiadka: — Grzesiek chodził z moim chłopakiem do jednej klasy. Dziecko spokojne, miłe. Ale matki ani razu nie widziałem na wywiadówce. Jej teściowie chcieli chłopaka zabrać do siebie. Stary często tu przychodził.

Saborska: — Jak tylko mąż umarł, to pies z kulawą nogą się nam nie interesował. Teraz to teść chce mi chłopaka odebrać. Powiedział, że będzie mnie skarżył. Niech skarży. Dziecka nie oddam. Tyle lat się nim nie interesował, to teraz niech nie będzie taki dobry. Babka kiedyś obiecała Grzeskowi prezent na święta. Chłopak trzy razy po niego chodził. Babka zapomniała...

Grzesiek był w Domu Dziecka. Zie mu było. Ja akurat leżałam wtedy w szpitalu, ten migdał miałam wyrwany. Musiałam go oddać. Ale wziął go z powrotem. Teraz będą się musieli dobrze nim opiekować. Zanim przyjdzie do siebie... A gdzie mu będzie lepiej jak u matki?

Sasiadka: — A ja mówię, że pani jest złą matką! Bo to nie widzieliśmy jak chłopak latał po nocy?...

Przewodniczący Komitetu Blokowego: — Dlaczego pani nie przyszła do nas? Pomogliśmy.

Saborska: — Tak, tylko, że jak Bartczak mnie bił, to nikt mi nie pomógł. Każdy zamykał drzwi i pod stuchiwał. Jak wyważał kiedyś w nocy drzwi w korytarzu, to wyjrzał kto?

Sprawa przybrała nieoczekiwany obrót, wyszły nowe problemy. Dlaczego sasiadzi, którzy relacjonowali tak szczegółowo dawne fakty nie interweniowali wcześniej? Przecież chodziło o dobro dziecka. A jakie są obowiązki i uprawnienia opiekunów społecznych i komitetów domowych? Mieszkałi przecież w tym samym domu, a opiekun nawet w tym samym korytarzu co Saborska. Dlaczego milczeli?

### Szpital:

Lekarze w pokoju asyntenkim wiedzieli o tragedii Grzeska. Kiedy powiedziałam im o tym, co mówią sasiadzi ustyszałam: — Może i trzeba oddać go do Domu Dziecka. Ale regularne posiłki i chodzenie spać o wyznaczonej godzinie, to jeszcze nie wszystko. To jeszcze nie jest matka.

Dyżurująca pielęgniarka była innego zdania: „Matka? Obserwowałam ją podczas pierwszej wizyty i podczas następnych. Proszę mi wierzyć, to nie jest dobra kobieta, była zbyt spokojna. Normalnie, matki rozpa-

czają w takich sytuacjach. Kto wie, czy ona o wszystkim nie wiedziała.

W małym pokoiku, razem z trójką dzieci, leży Grzesiek, chłopak o szarych, dużych oczach i sympatycznej, piegowatej buzi wysmarowanej czymś czerwonym. Na skroni ślady po trepanacji, na głowie, i na rękach ślady po zębach. Bzdura to, co opowiadali sasiadzi. Chłopak normalnie słyszał, normalnie i rzeczowo odpowiadał na pytania, normalnie się uśmiechał. Widać było, że wraca do zdrowia. O wypadku mówił krótko, zresztą miał dość tych opowiadań, przede mną był już z prokuratury, z milicji. — Ot, bawił się gdzieś tam na ulicy. Zobaczył Bartczaka. Ten zaczął go namawiać, żeby pomógł mu się dostać do ich mieszkania. Chłopak uciekł. Ale Bartczak jeszcze raz go znalazł. Wciągnął na pusty plac i zaczął bić. Deptał go, dusił i gryzł. Grzesiek powiedział, że „wujek” nigdy go nie lubił. Nie wie dlaczego. Denaturat pił także u nich w domu. A w ten dzień, kiedy go pobili, wcale nie był bardzo pijany. Nawet się nie zataczał. Nic nie mówił, za co go bije. Zawsze się awanturował. A matka codziennie przychodzi. Dziadek był w niedzielę, ale nie przyniósł. Chłopak nie powiedział o matce nic złego. Czekal na jej wizytę. Piegowata buzia uśmiechnęła się na pozegnanie. Miły chłopak. Gdyby wiedział, ile się o nim mówi, jak się „troszcza” o niego sasiadzi. Tylko sasiadka mieszkająca z nim przez ścianę była w szpitalu. Tylko ona jedna z tych wielu współczujących...

Mówi Przewodnicząca XII Wydziału dla Nieletnich Sądu Powiatowego dla miasta Łodzi: mgr Zofia Barlicka:

— Przytoczona tutaj historia, to typowy i częsty przypadek zaniedbań opiekuńczych ze strony matki, który nadaje się do wytoczenia sprawy o odebranie jej władzy rodzicielskiej.

Wprawdzie sfera osobistych przeżyć kobiety jest ważna, ale każda matka powinna w takim wypadku pamiętać o dziecku, o tym, żeby nie wyrządzać mu krzywdy. Interwencja Sądu często prowadzi do odebrania dziecka rodzicom i umieszczenia w placówce opiekuńczej. Jednak zawsze kierujemy się panującą obecnie tendencją do podtrzymywania więzi rodzinnej i dlatego tylko w wyjątkowych wypadkach dziecko zostaje tam do 18 roku życia. I wydaje mi się, że zawsze trzeba pamiętać o jednej rzeczy — „nie ma twego dziecka, nie ma mego dziecka, jest tylko nasze dziecko”.

A sasiadzi z tej historii, to niestety, także typowy już przykład znieczulicy społecznej, z którą w naszej pracy spotykamy się na każdym kroku. Najlepiej świadczy o tym, że o tego rodzaju wypadkach alarmuje nas przede wszystkim milicja. A przede wszystkim anonimowy telefon do nas, aby spowodować natychmiastową reakcję. Niestety, społeczeństwo jest tylko biernym obserwatorem. Oczywiście, tego rodzaju informacje to także obowiązek komitetów domowych i opiekunów społecznych. Zresztą, najlepiej precyzyjnie to zagadnienie artykuł 572 „Kodeksu postępowania cywilnego”: — § 1 — Każdy, komu znane jest zdarzenie uzasadniające wszczęcie postępowania z urzędu, obowiązany jest zawiadomić o nim sąd opiekuńczy.

§ 2 — Obowiązek wymieniony w § poprzedzającym ciąży przede wszystkim na urzędach stanu cywilnego, sądach, prokuraturach państwowych, biurach notarialnych, prezydiach rad narodowych, organach MO, placówkach oświatowych, opiekunach społecznych, społecznych organach pomocniczych sądu opiekuńczego oraz organizacjach i zakładach zajmujących się opieką nad dziećmi lub osobami psychicznie chorymi.

BOGDA MADEJ





ANTONI SZRAM

# Malarsiwo napelnione zyciem

(Kartki z wystawy)

Nie wszyscy chyba wiedzą, że Łódź przybyła jeszcze jedna galeria wystawowa — kulturalny Teatr Nowego. Urządza nie tam pokazy malarstwa i grafiki, związane są z programem premier sztuk teatralnych. Doskonale rozumiemy jakże zyskujemy z powyższego układu korzyści. W zakresie upowszechniania sztuki odnotowujemy jeszcze jedną cenną pozycję. Lubimy chodzić do teatru, nie zawsze mamy czas zwiedzać salony wystawowe. Dlatego niezwykle pożyteczna jest inicjatywa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych: organizowania w foyer teatru wystaw dzieł sztuki.

W roku bieżącym Towarzystwo zainaugurowało swą działalność ekspozycją olejów Tadeusza Romana. Przedstawienie ich autora czytelnikom — pozornie ułatwione — może następcą jednak swą trudność dla recenzenta. Zmieniają się bowiem mody, przemienia gusty, teraźniejszość wnosi inny styl, nową tematykę, nowe pomysły, nowe środki wyrazu — nowe dzieła sztuki. Pojęcie na wiazwania do tradycji naszego malarstwa bardzo często brzmi pusto i nieprzekonywająco. Tę umiejętność niektórzy określają „imitacją”, a malarza często nazywają epigonem.

Słowa te bywają czasem mocno nadużywane, a zatem krzywdzące. Na pewno krzywdzące, gdy chodzi o malarstwo Tadeusza Romana. Niechęć do malarstwa przedstawiającego, przesiąkniętego pierwiastkami emocjonalnymi, ma może swoje słuszne racje. Lecz dziwnym jest nadużycie sztuki abstrakcyjnej złożonej się na narzędzie niszczenia natury, dyskryminację człowieka. Gdy więc odmityzujemy upodobania, które zwykły towarzyszyły dyktatorom, wyznawcom sztuki obrazoburczej, znikną motywy nieufności do bogatego dorobku artystycznego Tadeusza Romana. Do wszystkiego, co tu nie należy do nowinek, co nie uległo naporem mody estetycznej dyktowanej przez zachodnią plastykę. Takie nasświetlenie krytyczne umożliwia odczytanie intencji malarza. Lata doświadczeń prowadzą pewne indywidualności twórcze do zastosowania takich środków plastycznych, że prace ich przy maksymalnej oszczędności potrafią wnieść najbardziej ważne treści i wartości artystyczne. Ta szlachetna właściwość cechuje również obrazy Romana. Każde płótno stanowi swego rodzaju wypełnienie antenetycznych pasji, uczuć, wzruszeń. O tym decyduje przede wszystkim

kim kolor. Gdyby mi przyszło określić jego natężenie, barwę — nazwałbym krótko: kolor Romana. Tak fascynujący, rzeczywisty charakterystyczny. Jego barwy odwołują się do naszych nie tylko zmysłów, ale także do naszej wyobraźni, emocji. Malarz owiany pasją i pragnieniem dotarcia do jądra zjawisk w naturze, rozkłada jej materię w energię liryczną o działaniu niemal muzycznym. Odtwarza przeżyte żywioły, przedmioty, „majątki podmiejskie”, starannie unikając ozdób i zbędnych piękności. U Romana epickość ustępuje miejscu liryzmowi, poezja bierze stanowczo górę nad kronikarskim rejestrowaniem zdarzeń wywołanych przez wiatr, deszcz i słońce w polskim krajobrazie („W parku”, „Poranek w lesie”, „Widok z Gubałówki”, „Miasto”, „Przedmieście Łodzi”). Problematykę społeczeństwa, trudną do przedstawienia w dziele malarskim, postarał się Roman uprosić sprowadzając ją do wyznaczników, których barwa określa to, co potocznie nazywamy postimpresjonizmem.

Ci, co trwają w tej konwencji, może są tradycyjni, zawsze są „dziećmi”, przeciw powszechnemu ciśnieniu abstrakcjonizmu, odmianom op art-u. Zawsze odkrywają to, co dawno już odkryto. Pomimo wszystko cenimy ich, ponieważ po drodze odkrywają środki wyrazu, ponieważ silnie odczuwają ciągłość kultury.

Tadeusz Roman, choć nie postuluje czczej oryginalności, stworzył swój świat osobisty, zaakcentował naturę i tłumaczy nam jej uroki w sposób dostarczający dużej wrzucen, w zgodzie z postawą wobec rzeczywistości, napelniając życiem swoje malarstwo.

## KRONIKA



### PERZYŃSKI, SAN-REMO, PIĘTAK

23 stycznia br. a więc prawie w rocznicę śmierci Włodzimierza Perzyńskiego (zmarł w Warszawie 21.I.1930 r.) telewizja warszawska nadała jego komedię, napisaną w 1906 r. pt. „Aszantka”. Tak znany utwór powszechnie znanego pisarza poprzedzono słowem wstępnym, z którego zresztą, oprócz kilku banałów, nie dowiedzieliśmy się niczego ciekawego. Jak bardzo „Aszantka” była niegdyś utworem cenionym, świadczy o tym opinia Boya, który z okazji krakowskiego przedstawienia tej sztuki w 1921 roku, pisał co następu-

je: „Nie potrzebuję tego powtarzać, o czym wróble na dachu świegocą, że Aszantka jest jedną z najlepszych komedij Perzyńskiego, a tym samym komedij polskich ostatniej doby, że pisana jest z poczuciem sceny i ról, oraz że od dawna stanowi dla aktorów ulubioną popisową sztukę.” I jeszcze jedna opinia Boya, wyrażona znacznie później (1934) z okazji warszawskiego przedstawienia utworu: „Znów, po kilkunastu latach, oglądam „Aszantkę” ze świeżym zainteresowaniem. Też te utwory mają tę właściwość, że mówią za każdym razem o innym.”

Więc jakże ten sławny twór sceniczny wystawiono obecnie? Obsada była świetna, ale — niestety — mój przyjaciel Mieczysław Voit w roli Łońskiego wypadł, przynajmniej w początkowych scenach, sztucznie i nieprzekonywająco. Rozegrał się nieco później, ale i tak to nie to, czego mogliśmy po nim i od niego oczekiwać. Rolę „Aszantki” powierzone Elżbiecie Czyżewskiej. Była bardzo dobra, wszelako nie była jeszcze owym „trującym kwiatem na bagnie”. Aszantka to rola piekielnie trudna, łatwo zrobić z niej wulgarną dziwkę. Czyżewska ustrzegła się tego, na szczęście. Jest to duży talent i kiedyś winna ona wrócić do tej roli, by ją doprowadzić do mistrzowskiego wykonania.

Z audycji publicystycznych minionego tygodnia należy wyróżnić „trybunę telewizyjną” z udziałem trzech historyków, a poświęconą sprawom stosunków polsko-niemieckich na przestrzeni dziejów. Audycja ta zahaczała, oczywiście, o orędzie biskupów i reperkusje jakie wywołało ono w Polsce i na świecie. Błysnął wiedzą i umiejętnością wypowiedzi prof. Konstanty Grzybowski, natomiast nie można tego powiedzieć o pozostałych uczestnikach, a zwłaszcza o jednym z nich, który — o dziwo! — mówił rzeczy historycznie nieścisłe i prof. Grzybowski musiał je prostować. Rozmowę prowadził nasz stary znajomy łodzianin, a obecnie redaktor warszawskiego tygodnika „Praca i Życie”, dr Kazimierz Kąkol. Mimo, iż sprawował się dzielnie, mam do niego pretensję, że jest zbyt sztywny, a czasami niepotrzebnymi ingerencjami nie pozwala rozwinąć się dyskusji swobodnie. Mówię tu na podstawie dłuższej obserwacji jego wystąpień, nie tylko na podstawie tego ostatniego.

Tym, którzy nie mogli słu-

chać piosenek z XVI Festiwalu w San-Remo, odpowiem: nie macie czego żałować. Festiwal, który nie wyłonił ani jednej piosenki, mającej szanse zrobienia kariery, jest festiwalem nieudanym. Nie wydaje się, by piosenki śpiewane w San-Remo przez czternaścioro najlepszych włoskich śpiewaczek i śpiewaków mogły przetrwać zbyt długo. Żadna z nich nie wyróżniła się melodią, nie było również ciekawszych interpretacji. Ale co najcharakterystyczniejsze: te piosenki mogłyby być śpiewane wszędzie: w Opolu,

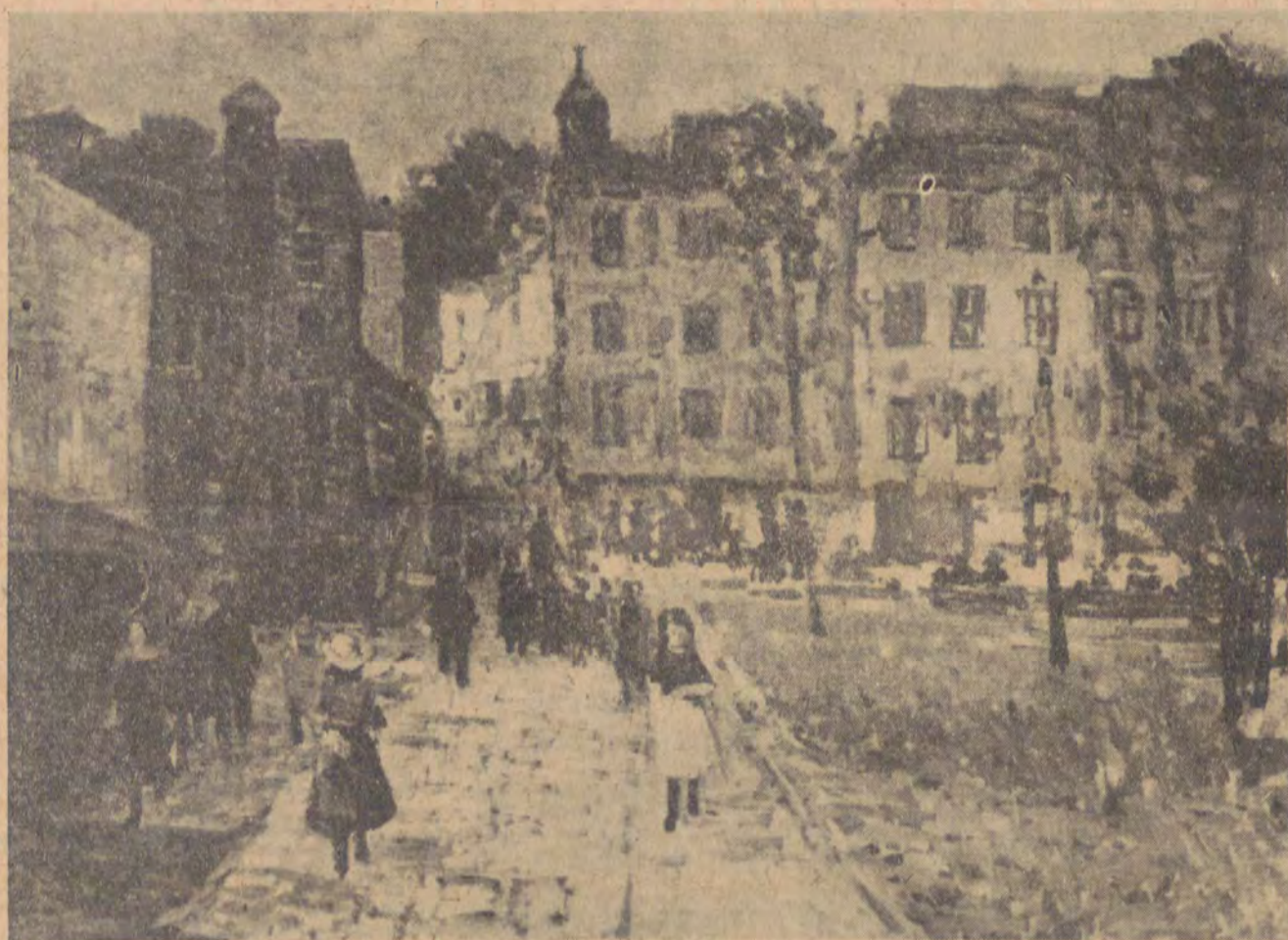


Sopocie, Pradze czeskiej, Londynie i Budapeszcie. Nie było w nich nic z lokalnego kolorytu Italii — tego kraju pieśni i muzyki. Wszystkie piosenki w Europie stają się do siebie podobne. To straszne. Dziękuję za taki uniwersalizm. To nuda, nie uniwersalna sztuka.

Na koniec powróćmy do kraju. W niedzielę (30 stycznia) słuchaliśmy spotkania z poetą — Stanisławem Piętakiem. A właściwie z jego wierszami, bo autor od dwóch lat nie żyje. Popełnił samobójstwo, skacząc z czwartego piętra na bruk w Warszawie przy ulicy Świerczewskiego — 27 stycznia 1964 roku. Zastępcą znał osobieści Stanisława Piętaka i nawet się z sobą przyjaźnili. Był to dobry pisarz i dobry kolega. Dobrych poetów mamy nawet sporo, ale dobrych kolegów — coraz mniej. A przecież dopóki żyjemy, pragniemy być otoczeni ludźmi, którym można zaufać i na których można polegać.

Dobrze, że telewizja pamiętała o Stanisławie Piętaku w drugą rocznicę jego śmierci.

ZASTĘPCA



Tadeusz Roman — Fragment miasta Fot.: A Idziński

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



W ubiegłym roku ukazała się na półkach księgarskich niewielka książeczka zawierająca dwa opowiadania Brandysa: „Sposób bycia” i „Bardzo starzy oboje”. Adaptacja filmowa pierwszego z nich wchodzi właśnie na nasze ekrany. Nie jest to bynajmniej jedyna przeróbka tego utworu literackiego. „SPOSÓB BYCIA” doczekał się już wcześniej adaptacji scenicznej. Wystawił go Studencki Teatr Satyry w Warszawie w formie monodramu, którego wykonawcą był znany polskiej publiczności Andrzej Lapiński. Spektakl ten stał się inspiracją dla Jana Rybkowskiego. Oddajmy zresztą głos samemu reżyserowi:

„Największą trudnością było znalezienie formy przekazu filmowego tego dość szczególnego i wyjątkowego tekstu literackiego. Gdybym nie zobaczył przedstawienia w STS — nie wiedziałbym chyba, jak zrobić ten film. Dzie-

ki teatrowi tekst sprawdził się nie tylko w lekturze. Chcieliśmy, aby nasza adaptacja była jak najwierniejsza, zachowała klimat, atmosferę utworu, nie sprzeniewierzyła się postaciom”.

Niestety — Rybkowski zobaczył przed stawienie STS. Wziął z niego nie tylko Andrzeja Lapińskiego, któremu powierzył główną rolę w swym filmie, ale także teatralną manierę wygłaszania monologu wewnętrznego. I oto zamiast interesującego strumienia świadomości, w którego formę ujęty był pierwotnie literacki, mamy na ekranie systematyczne gładzenie mężczyzny w średnim wieku do samego siebie. To, co dla teatru było koniecznością, obowiązkową konwencją — w filmie stało się największym mankamentem. Sztuka ekranu potrafi przecież przy użyciu jej tylko właściwych środków wyrazowych ukazywać strumień świadomości bohatera ze swo-

bodą równą literaturze. Z chwilą, kiedy Rybkowski zastąpił monolog wewnętrzny przez słowo wypowiedziane, zmienił całkowicie klimat utworu — wbrew własnym deklaracjom o jak największej wierności wobec pierwowzoru. Okaleczył utwór dotkliwie pozabawiając go rzeczy najbardziej istotnej. Co więcej — nowa forma nadana w filmie opowiadaniu Brandysa, a więc odmienna zarazem atmosfera, doprowadziły do karygodnego spłykania problematyki utworu. Nie uratował filmu interesujący chwyt (mimo to zresztą w kinematografii) zachowania niezmiennego postaci bohatera w obu płaszczyznach czasowych: akcji bieżącej i retrospekcyjnej. To samo ubranie, ta sama twarz, włosy przyprószone nieco sztywną. Wspomnienia nabierają w ten sposób dysansu czasowego, tracą znamiona różnorodności, naoczności, tak charak-

teryistyczne dla filmu. Nie pomogły także natrętne zbliżenia stosowane z upodobaniem przez operatora. Niefilmowa była w swej istocie sama koncepcja monologu wypowiedzianego. Tego błędu nie zdołał już naprawić ani montaż, ani zbliżenia. W dodatku oznaki cierpienia fizycznego bohatera są także teatralne, podobnie jak jego śmierć. Owa gra, dobra na deskach scenicznych, jest tu absolutnie nie na miejscu. Razi, irytuje. To znowu poważny zgrzyt. Film dysponuje przecież o ile subtelniejszymi środkami wyrażania na ekranie psychiki ludzkiej, samopoczucia człowieka, jego stanów psychicznych.

Filmowy „Sposób bycia” rozczarował mnie niezmiernie. Nie potrafił znaleźć ekwivalentu dla ciekawej formy literackiej. Spłycił, zubożył straszliwie swój literacki pierwowzór.



„PIĘCIU MEŻÓW PANI LIZY” to extra gigant wśród supergigantów. Bacwny, szerokoekranowy, kosztowny, kosztował 5 milionów dolarów. Rozrywka wyjątkowo kosztowna. Kto kocha w filmie luksus, wystawność, będzie w słodnym niebie. A płacąc za jeden bilet, obejrzysz niemal pięć filmów. W opowieści pani Lizy o każdym z jej mężów wplecione są bowiem za każdym razem wstawki filmowe, będące parodią jakiegos gatunku lub rodzaju filmowego. Pani Liza mówi na przykład — nasze życie przypominało wtedy wczesny film niemy — i natychmiast oglądamy

zwariowaną komedię niema (towarzysz jej tylko muzyka). Oczywiście ekran traci swoje szeregowe namy, kolorowość zastąpiona zostaje czernią i bielą, a wszystko porusza się z charakterystycznym dla dziesiętych projekcji przyspieszeniem. Ta wstawka związana jest z pierwszym mężem Lizy (gra ją Shirley McLaine) — ubogim amerykańskim sklepikarzem, który dorabiał się milionów i umiera z przepracowania. Pani Liza rusza w podróż do Europy. W Paryżu poznaje osobliwego malarza. Jego obrazy wykonywane początkowo małą, potem specjalne mechanizmy kierowane dźwię-

kami. Przedmiotem parodii staje się tym razem francuski film erotyczny. Gdy drugi mąż Lizy dorabia się majątku dzięki wykorzystaniu płyt z klasykami do malowania swych nowoczesnych obrazów, ginie zabity przez skonstruowany przez siebie mechanizm. Trzeci mąż Lizy nie musi się dorabiać. Był już milionerem, kiedy go ta fatalna kobieta poznała. W wstawce sporodowany zostaje tym razem hollywoodzki film kostiumowy, schematyczny, przepelniony reiklana, niewiarygodnie głupi. Liza wyjeżdża na wieś zakosztować innego życia, ze swym trzecim już małżonkiem. Sielanika

kończy się tragicznie — mąż Lizy usiłował przez pomyłkę wydoić byka. Czwartym ślubnym Lizy zostaje kłown Pinky. I ona także ginie dorobiwszy się uprzednio majątku i sławy filmowego gwiazdora. Zanim do tego dojdzie — oglądamy parodię amerykańskiego musicalu. Wszystko to jest retrospekcją. Piąty mąż stanął wyjątk — występuje w akcji bieżącej. I chociaż wstawki parodystyczne są znakomite, trzeba stwierdzić — stanowczo za dużo mężów miała Liza. Film jest straszliwie przeladowany. Tak bardzo, że zaczyna nużyć.

MARIAREL



Kto, co, kiedy?

relacje niedyskrecje

BALET PAUL TAYLORA

Młody choreograf amerykański Paul Taylor w krótkim czasie zdobył sobie sławę (w 1964 roku jego balet został nagrodzony Złotą Gwiazdą na Międzynarodowym Festiwalu Tańca). W kołach sędziowskich Ameryki Taylor ma opinię nowatora. figur tancerzy do drugich.

Wśród szerokiej skali opracowywanych przez niego choreograficznych interpretacji muzyki od jazzu aż po muzykę klasyczną Bacha lub Haydna, zaznacza się właściwa dla jego kreacji nastrojowość i ekspresyjność. Przy interpretacji mu-

dziewcząt. Są to sieroty prowadzone na spacer przez zakonnice z pobliskiego klasztoru. Wolfram urzeczony urodą jednej z sierot pięknej Kelly, porwuje ją z klasztoru, ukrywa w pałacu, a klasztor podpada. Królowa Regina dowiadyduje się wrótce o wszystkich sprawach narzeczonego i nieprzytomna z zawiści wyrzuca piękną Kelly z pałacu. Na tym urywa się wątek fabuły zrealizowanej filmowo przez Stroheima.

Film „Queen Kelly” wysłany był we Francji po raz pierwszy w 1932 r., potem w 1956, a po raz trzeci znalazł się niedawno na ekranach telewizyjnych, co skłoniło francuski dziennik „L'Humanité” do przypomnienia historii zatargu Ericha von Stroheima z producentami i ich zemsty na utalentowanym reżyserze.

65-letni prof. Leprince-Ringuet jest wybitnym uczonek, znawcą zagadnień nuklearnych, autorem licznych prac badawczych i zdecydowanym przeciwnikiem rozpraszania broni jądrowej. (w. n.)

ZNAKOMITY FIZYK W AKADEMII FRANCUSKIEJ

Sensacyjnie zakończył się 16 stycznia wybory do Akademii Francuskiej, na fotel opróżniony przed rokiem przez śmierć blisko 100-letniego gen. Weyganda. Kandydował m. in.: przez francuskiego Związku Literatów, siostrzeniec marszałka Francji, Piotr Lyantey oraz p. Germain Bazin. Trzecim kandydatem, niedawno wysuniętym, był znakomity fizyk, prof. Louis Leprince-Ringuet. Walka między kandydatami była tak zapaśnicza i gorąca, że musiał się odbyć aż trzy „tury” wyborów, które trwały kilka godzin. Ostatecznie zwyciężył Piotr Leprince-Ringuet, 16 głosami przeciw 2 na Lyanteya, i 2 na Bazina.

BAJKA O „KOPCIUSZKU” — NA OPAK

W rozpoczętej dla francuskiej telewizji przez Françoise Dorin serii dość dowolnie adaptowanych bajek Perraulta, następną po „Czerwonym Kapturku” jest bajka o „Kopciuszku”. W porównaniu z pierwowzorem Perraulta wszystko dzieje się tu

Marzenia te spełniają się. Pewnego dnia Kopciuszku udaje się wymknąć z pałacu. W jednym z pańskich music-hallów podziwia piosenkarza Francois Claude, który natychmiast staje się jej bożyszczem (jak książę z bajki dla Kopciuszka u Perraulta). W swej wyprawie Kopciuszek napotyka magika, który zamienia ko-



Kopciuszek jedzie w karecie. Czarownik zmienia jej wygląd

na opak. Kopciuszek w telewizyjnym opracowaniu jest nie tylko piękna, ale i bardzo bogata dziewczyna, która znużona luksusem i powodem zawiści swym znacznie od niej brzydszym i biedniejszym siostrzem. Tamte mają większą swobodę, nie muszą włożyć brzoła udziału w nudnych zerbanach towarzyskich. Kopciuszek marzy o wyrwaniu się z złotej klatki, chce być brzydka, być ubraną, a nawet brudną.

sztowna, jedwabną sukienkę dziewczyny i jej złote pantofelki na tani, brzydką i brudną ubiór. Tak przelotczy Kopciuszek zwraca na siebie uwagę swego bożyszczka. Wyróżnia się wśród tłumu elegantek odmiennym, bo zaniebanym strojem.

Bajka kończy się tak, jak powinna się kończyć bajka: Kopciuszek i jej ukochany piosenkarz obrabiali się, żyli długo i mieli dużo dzieci.

FRANCUSKIE PŁYTY Z „SURREALISTYCZNA MUZYKA”

Inna gwiazdą nowej generacji kompozytorów jest Xenakis. Muzyka jaką stworzył jest najbardziej dziwna i niezwykła jaką ktokolwiek skomponował w ubiegłym roku. Utwór Xenakisa „Metastasis” jest kompozycją w której 61 instrumentów, gra każdy co innego. Nagromadzenie przejść i akordów stwarza nieraz nieznośne uczucie napięcia nerwowego, czasem panicznego lęku. Płyty zostały nagrodzone przez l'Academie du disque français.

WILNI NAPISAŁ 24 PRELUDIUM W RÓŻNYCH TONACJACH

Wszyscy trzej zapisał swoje preludia w jednym i tym samym zeszytce. Ten pamiątkowy zeszyt z nutami zachował się do dnia dzisiejszego. Pismo „Sowietskaja Kultura” w numerze 5 z tego roku publikuje kopię rękopisu jednego z preludów, napisanego przez młodego Szostakowicza czterdzieści lat temu.

PAMIĄTKOWY ZESZYT.

W tomie „Muzykalnoje nasledstwo” (Muzyczne dziedzictwo), który ukazuje się w 1966 roku w ZSRR, zostaną opublikowane wspomnienia drydygenta G. Judina. W 1920 roku autor wspomnień studiował w Leningradzkim Konserwatorium razem z D. Szostakowiczem. Judin pisze m.in. o tym jak Szostakowicz wraz z dwoma kolegami postanow-



„Dmitrij Szostakowicz słucha muzyki”. Praca W. Achlomowa nagrodzona dyplomem 1-go stopnia na Wszechnicy Krewy Wystawie Fotograficznego „Współczesny”. (ZSRR).



Bettie de Jong i Paul Taylor

Specyfika jego sztuki choreograficznej jest zastosowanie dla tańca, wiedzy o ekspresji ruchów oraz specjalna troska o harmonijność przejść od jednego

zykli poważnej zwolnione tempo i płynność ruchów tancerzy dają widzom wrażenie oglądania filmu w zwolnionym tempie.

ZA CO HOLLYWOOD OBRAZIŁ SIĘ KIEDYS NA STROHEIMA

„Queen Kelly” jest ciekawym dziełem filmowym w rodzaju wiedeńskiej operetki. Autorem jego jest Erich von Stroheim (1885—1957), znany amerykański aktor i reżyser filmowy, pochodzenia niemieckiego. Zyskał on sobie niegdyś uznanie realizując takie filmy jak „Wesoła wdówka” czy „Bulwar Zachodzącego Słońca”.

nie zostało jednak skończono. Był to film niemy, a wówczas na ekranach zaczęły już wchodzić filmy dźwiękowe i producenci kazali przerwać prace nad „Queen Kelly”. Akcja filmu Stroheima rozgrywała się w fikcyjnym królestwie europejskim. Despotyczna królowa Regina V była zaręczona z księciem Wolframem, pijakiem i hulaką. Chcac ukarać narzeczonego za jego udział w zbyt hucznej i wesołej zabawie, królowa rozkazuje mu odbyć dłuższą przejażdżkę konną na czele regimentu. Na drodze jej dzicy spotykają grupę

PONIEDZIALEK

Tak mi się jakoś na zwierzenia zebrało. Czasem i tak trzeba. Wygarnąć z siebie. Wiele proszę tego nie rozgłaszać, ostatnio prowadzę życie nad stan. W pewnym sensie hulaszczę. Bez umiaru, bez opamiętania. Z jubileuszem na jubileusz, z rocznicą na rocznicę — tak od dłuższego już czasu. Człowiek z natury swojej ułomny! do weselenia ohotny; do biesiadowania, do jubileuszowania, do... Sił jednak nie staje, a końca nie widać. Teskił więc człowiek do dnia, do tygodnia spokojnego, szarogó, a nawet, nawet smutnego, bo w smutku, to dopiero ustawkowanie; marny bo marny, ale odpoczynek. Tak, nie dwu, całego tygodnia! Bez lumpowania — pojawiła ozu uszczesliwieniem, barwami triumfów i dźwiękami wydobyciami się z piersi. Cały tydzień. Aaa... Uuu... eee... Czegoś brak, marketno, eni się jakoś, pierś kłębnie. Więc, proszę tego nie

ROZMOWA Z WAJDA

Dziennik hamburski „Die Welt” (z 18 grudnia 1965 r.) zamieścił wywiad z Andrzejem Wajdą. Na pytanie dziennikarza, co sądzi o krytyce „Popiołów” w Polsce, Wajda odpowiedział między innymi: „W Polsce istnieją dwie opinie o filmie: film jest artystycznie nieudany i nie odpowiada treści książki, jeśli chodzi o interpretację udziału Polaków w kampanii napoleońskiej. Dla mnie Żeromski przedstawił losy ludzi, którzy zaufali Napoleonowi lecz on nadużył tego zaufania i zaangażował ich w wojnę z innymi narodami. W wojnie napoleońskiej chciałoby się widzieć pełną chwałę przeszłości Polaków. To jest fałszywe”.

ROZMOWA Z WAJDA

Dziennik hamburski „Die Welt” (z 18 grudnia 1965 r.) zamieścił wywiad z Andrzejem Wajdą. Na pytanie dziennikarza, co sądzi o krytyce „Popiołów” w Polsce, Wajda odpowiedział między innymi: „W Polsce istnieją dwie opinie o filmie: film jest artystycznie nieudany i nie odpowiada treści książki, jeśli chodzi o interpretację udziału Polaków w kampanii napoleońskiej. Dla mnie Żeromski przedstawił losy ludzi, którzy zaufali Napoleonowi lecz on nadużył tego zaufania i zaangażował ich w wojnę z innymi narodami. W wojnie napoleońskiej chciałoby się widzieć pełną chwałę przeszłości Polaków. To jest fałszywe”.

Notatnik KULTURANNY. Contains daily news and commentary under the heading 'Notatnik KULTURANNY'. Includes sections for Monday (PONIEDZIALEK), Tuesday (WTOREK), Friday (PIĄTEK), Saturday (SOBOTA), and Sunday (NIEDZIELA). The text discusses various cultural events, film reviews, and personal observations by the author.

Continuation of the 'Notatnik KULTURANNY' text. Includes sections for Sunday (NIEDZIELA) and a section titled 'ROZMOWA Z WAJDA'. The text continues with reflections on art, culture, and the author's views on contemporary events and cinema.



W. Somerset Maugham opowiada:

Od dawna zamierzam napisać powieść o karciarzach i dlatego w swych podróżach wokół świata staram się zawsze mieć otwarte oczy i nie przegapić żadnego napotkanego członka tej profesji. Zazwyczaj karciarz — szuler nie chępli się swym zawodem, jako że utarło się przeświadczenie, iż nie przynosi on nikomu honoru, i ta konspiracja sprawia, że zazwyczaj dopiero w trakcie intymniejszej już znajomości, grając i przegrywając któryś tam raz z rządu, człowiek nagle odkrywa, że jego partner traktuje grę w karty jako

wiem nie dochodziło nigdy do żadnych zwierzeń. Gdy wyznawalem, że jestem pisarzem, nie się nie zmieniało w ich stosunku do mnie: zresztą przyznawali uczciwie, że nie czytali ani jednego słowa z tego, co napisałem i dawali mi do zrozumienia, że tak jak oni nie interesują się moim zawodem, tak ja nie powinienem pecha nosa w nieswojej sprawie.

Zrozumiecie więc, z jakim entuzjazmem zawarłem znajomość z dwoma dżentelmenami, od których, jak mi się zdawało, miałem szansę zdobyć trochę nowych informacji o tej interesującej mnie sprawie. Podróżowałem wtedy na francuskim statku płynącym na wschód z Hajfongu. Moi nowi znajomi weszli na pokład w Hongkongu. Ponoć jeździli tam, na słynne wyścigi, a obecnie wracali do Szanghaju, do którego i ja się wybierałem. Wkrótce dowiedziałem się z ich ust, że odbywają tę podróż dla przyjemności, a pochodzą z Nowego Jorku, że chcieliby, podobnie jak ja, odwiedzić Pekin, i że dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności czeka nas wspólna podróż do Ameryki na tym samym statku. Byłem zachwycony tą perspektywą a znajomość nabrała dla mnie jeszcze i rumieńców, gdy ktoś ze współpasażerów

wił przyciszonym głosem, a ruchy jego sprawiły wrażenie ogromnego opanowania i wewnętrznej dyscypliny.

Jego towarzysz o nazwisku Peterson, był najzupełniejszym kontrastem. Ogromny, rubaszny mężczyzna o czerwonej twarzy i gęstych czarnych włosach, sprawiał wrażenie gladiatora pewnie swojej fizycznej sily i skorego do bójk.

Korzyści takiej kombinacji były oczywiste. Elegancki, subtelny Campbell, był mózgiem zespołu. On układał plany strategiczne, on przeprowadzał analizę charakterów swych ofiar, on wyznaczał kierunki natarcia. Ale życie szulera nie jest wolne od niebezpieczeństw. Gdy dochodziło do sytuacji krytycznych, potężne pięści Petersona musiały się okazać bezcenne. Nie wiem, jak to się stało, ale wkrótce na naszym statku było powszechnie wiadome, że jedno uderzenie tej pięści załatwia najsilniejszego. Zresztą nikt tego nie sprawdził, nie było ku temu okazji, bo w czasie krótkiej podróży z Hongkongu do Szanghaju, dwaj interesujący dżentelmeni nikt mu nie zaproponowali ani jednej partyjki. Możliwe, że nagrali się do syta w Hongkongu na wyścigach i potrzebowali teraz odpoczynku. Natomiast obaj panowie w sposób wyraźny korzystali z tego, iż ich oczywista ze swymi przepisami prohibicyjnymi leży za oceanem: nie uczynię im żadnej krzywdy jeśli powiem, że w czasie tej krótkiej podróży nie widziałem ich trzeźwych. Będąc pod gazem stawali się bardzo rozmowni, każdy z nich chętnie mówił o drugim i dzięki temu wkrótce wiedziałem, że Peterson był jakoby inżynierem — górnikiem i mieszkał w Nowym Jorku. — „To znakomity inżynier” — zapewniał mnie Campbell. Z kolei Peterson wzmawiał we mnie, że Campbell jest bankierem, znanym bankierem, i że jego bogactwo jest wprost legendarne. Oczywiście słuchałem tego wszystkiego z uwagą, udając że wierzę. Wydawało mi się, iż Campbell nieco pokpił sprawę, bo grając taką rolę powinien nosić jakieś klejnoty, drogie sygnety spinki z diamentami, czy coś w tym rodzaju. A to, że używał prostej, srebrnej cygarniczki, było karygodną już wprost gaffą: czy niebądyla bogaty bankier z Nowego Jorku nie używał by złotej cygarniczki?

W Szanghaju zatrzymałem się tylko dzień i moją interesującą parkę spotkałem dopiero w Pekinie. Byłem wtedy jednak tak zajęty innymi sprawami, nie mogłem im poświęcić ani



chwili. Dziwne mi się wydawało, że Campbell spędza cały swój czas w hotelu, że nawet nie wyszedł zwiedzić słynną Świątynię Nieba. Mogłem to zresztą zrozumieć; Pekin, w którym nie było o tej porze zbyt wielu bogatych turystów, wydał się moim płaszczkiem nieciekawym. Nie zdziwiłem się że wrócili do Szanghaju. Połem spotkałem ich na statku, który wiozł nas przez Pacyfik do Ameryki.

Ale i na tym statku nie było amatorów gier hazardowych, towarzystwo było piekielnie nudne, składało się z przeciętniaków, a ani na lekarstwo ludzi z cięższą forsą. Raz tylko byłem świadkiem, jak Campbell straszliwie zdruzony, zaproponował partyjkę pokera, z której zresztą niewiele wyszło. Peterson oceniwszy negatywnie pasażerów, a raczej zawartość ich portfeli, w ogóle w tej grze nie wziął udziału. Trudno go było wyciągnąć z baru, zawartość każdej butelki zdawała się niesłychanie go ciekawić i podniecać.

Wciąż tylko przy tej jednej okazji obserwowałem Campbella. Miał żyłkę do gry, nie dziwnego, najłat-

wiej osiągnąć sukcesy w zawodzie, który człowiek lubi. Obserwowałem zafascynowany, jak nieznacznymi ruchami tasował karty, jak pieścił je swymi wypielęgnowanymi dłońmi. Grając pił na potęgę, ale nie stracił ani na chwilę panowania nad sobą, twarz jego była skupiona i niemal kamienista. W czasie tej partyjki przegrywał — i czynił to z wdziękiem. A gdy partnerzy zawiedli, najbardziej zafascynowany byłem ja: tak bardzo chciałem zobaczyć tego gracza w czasie wielkiej, szarpającej nerwy rozgrywki!

Ale oto podróż nasza się skończyła, byłem przekonany, że nigdy już nie zobaczę tych mnych interesujących znajomych. Traktuję swój zawód poważnie, poczyniłem więc natychmiast wiecie notatek, które miały mi służyć przy pisaniu książki o szulerach. Wszystkie te od krycia zawdzięczałem oczywiście obserwacji Campbella i Petersona.

Po przybyciu do Nowego Jorku zaproszono mnie do Ritza z okazji uroczystości rodzinnej mých starych znajomych. Gospodyni zapowiedziała, że przyjęcie będzie tylko dla wybranych gości,

dla samej śmietanki nowojorskiego towarzystwa.

— Jestem przekonana że ucieszy pana znajomość z ówoma tuzami naszego towarzystwa — powiedziała, gdy się zjawilem. Jeden z nich to znany w mieście bankier; przyprowadził swego przyjaciela, sławnego wynalazcę.

Ledwie usłyszałem te zapowiedzi, już zbliżali się do mnie panowie Campbell i Peterson. Prawda osłepiała mnie jak błyskawica więc Campbell był rzeczywiście słynnym nowojorskim bankierem, a Peterson inżynierem-wynalazcą! Jakże mogłem uwierzyć temu idiotcie, który mi na statku powiedział, że to szulerzy? I dlaczego przez całą długą podróż brałem tych dwóch arcyprzyswoitych ludzi za graczy?

Pochlebiam sobie, że wyraz mej twarzy nie zdradził nic z tych myśli. Witając się z Campbellem i Petersonem ścisnąłem wylewnie ich dłonie. A w myślach, przekreślając to wszystko, co w mym piarskim notatniku miało służyć przyszłej książce o szulerach, powtarzałem z wściekłością.

— A to szalbierze!

## SZALBIERZE

zarobkowanie. Ale nawet wtedy, kiedy wszystko stanie się jasne, karciarze i tak będą nadal otaczać swe rzemiosło mgłą tajemnicy, pozując na emerytowanych oficerów kawalerii, podróżujących, handlowców, albo bogatych właścicieli ziemskich. Ten ich snobizm, jak się nie raz przekonałem, czyni z graczy przedmiot niełatwego studium dla powieściopisarza.

Miałem więc szczęście spotkać niemal dżentelmenów tej profesji. Byli zazwyczaj czarujący, eleganccy i ogromnie towarzyscy. Musiałem jednak niezbyt dyskretnie śledzić technikę ich działania, i to moje zainteresowanie nie tyle grą, co gierką, sprawiło, że zrazu zanępkocieni, zazwyczaj w końcu brali mnie za członka swego klanu. Nie dawało mi to jednak tak pożądanej ze względu na książkę wiedzy o „Graczu” jako takim, bo

ostrzegł mnie konfidencjonalnie, że mam do czynienia z zawodowymi graczami i szulerami.

Wiedziałem już, że nikt z tej branży nie będzie mówił szczerze i otwarcie o swym interesującym zajęciu. Zapatrzyony w miazg książek, którą chciałem napisać, wierzyłem jednak, że znajomość ta umożliwi mi nowe ciekawe obserwacje, że z uwag i gestów moich interesujących współtowarzyszów podróży, zrodzą się przyszłe postacie bohaterów powieści.

Pierwszy z nich — niejaki Campbell — był mężczyzną około czterdziestki. Drobny, ale tak zbudowany, że trudno byłoby go nazwać niepozornym, miał wielkie oczy, nacechowane swoistą melancholią, i doprawdy przepiękne ręce. Jeśli by nie przedwczesna skłonność do łysienia, mógłby uchodzić za bardzo przystojnego. Ubierał się starannie, mó-



LUDZIE PATRZAJ!

## Lewym okiem

Opowiadał mi kiedyś starszy pan, były podoficer drugiego korpusu i uczestnik kampanii włoskiej, że w jakimś tam okolicznościowym przemówieniu do żołnierzy polskich pewien oficer angielski powiedział:

„Zaraz za niemieckimi oddziałami frontowymi idzie dom publiczny, za angielskimi — kupiec, za polskimi — sąd wojskowy!”

Oficer mówił mianowicie o niebywałych talentach tak zwanego „kombinowacza”, czyli po prostu handlowania nieswoimi rzeczami. Żaden Włoch nie ośmielił się proponować biznesu angielskiemu żołnierzowi. Od naszych rodaków — kupował wszystko: benzyna, opony, żywność, całe skrzynie papierosów, czekolady i kawy. Płacił też wszystkim: winem, dziewczyną, złotem.

Dziś mamy szczęśliwą epokę stabilizacji, żołnierze — ci, co przeżyli — wrócili do domów. Szeroko natomiast rozlały się spienione fale turystów po wielu krajach Europy. Ścisłej mówiąc:

turyście, nie turystów! Panie stanowią przeciwieństwo osiemdziesiąt procent klientów Orbisu, Sports-Touristu i Gromady. Nasze najmilsze — w domu — panie, dzielne i pracowite, zawsze w humorze, z fantazją, eleganckie, pełne wdzięku i przysłówowo urodzive.

Niestety, to nie te cechy górują i nie one rzucają się w oczy publiczności nawiedzonych krajów. Dominującą i zagłuszającą wszystko inne jest gorączkowa obsesja handlu, handlu, handlu za wszelką cenę, za cenę poniżej, śmieszności, lełcewania, ba — kolizji z prawem. Nie my przecież stanowimy większość wśród obcojęzycznych w Budapeszcie, w Złoty Piaskach i nad Adriatykiem. Ale w sklepach, sklepikach i bazarach, na najbardziej handlowych ulicach akcent znad Wisły zagłusza wszystkie inne. Sprzedawczyńe już się przestały wysilać na uprzejmość i uśmiechy. Patrzą z politowaniem na szturm rozwijanych panów, na ich przymilne miny i dwuznaczne przymrugiwania. Wiecie — to jest coś okropnego. Cóż z tego, że miałem ochotę pogwarzyć na lotniisku w Budapeszcie z dwoma paniami, rozmawiającymi piękną francuszczyzną i uśmiechającymi się do mnie zachęcająco. Bałem się, że zaczną mówić o dwóch tuzinach półprzymyślnych moich krajanków, pchających się z krzykiem na kioski — po co? Rany boskie, po co: po mydło, żyletkę, kremik?

W Bratysławie jakiś obszarpaniec pyta, czy mam na sprzedaż pornograficzne zdjęcia. — U nas tego nie ma — mówię. Klient dziwi się

bardzo szczerze: — Ja już parę razy od Polaków kupowałem!

Gdzie indziej do naszego autobusu podchodzi pijany facet i obcesowo żąda spirytusu. Zona ciągnie go za rękaw, żony wszędzie ciągną za rękawy pijanych mężów. — Ale to przecież Polacy, dlaczego nie sprzedają spirytusu? — krzyczy zdenerwowany gość, aż czujemy się trochę zawstyżeni, żeśmy go zawiedli!

Obsługa wszystkich sklepów rutarskich w Bułgarii mówi od dawna po polsku. Towaru w tych sklepach nie ma prawie wcale. Słynne kożuski robi się tylko na zamówienie. Zamówienie trwa długo. Żeby uniknąć czekania — uruchamia się różne style kokieterii i szuka „dojścia”. Są to sceny na długo zostające w pamięci, człowiek niechętny mizantropie i nie pociesza go nawet wspomnienie naszych sympatycznych pobratymców, Węgrów, wystających na Krupówkach z koszulami non-iron na rękaw, w oczekiwaniu nabijocy.

Niczego tu nie myślę postulować ani ograniczeń ruchu turystycznego, ani zaostrzonych rewidji celnych, które i bez tego bywają niezmiernie przykre dla prawdziwego turysty, ani drażniących kar na bezwstydnym, a może tylko mało świadomym, słabych łakomczuchów. Spróbujmy na razie mówić, wszystkim kandydatom na turystów razem i każdemu z osobna, że ludzie patrzą. To nie, że nieznajomi. Oni właśnie patrzą jeszcze uwikławiej i wyciągają wnioski. Co też sobie o nas pomyślą!

CWIEK